



Adam Cebula "Grzech niepierworodny"

Adam Cebula



Podatek z jajec złożony to dycht poważna sprawa, zwłaszcza gdy podgrodzie w ruinie... Adam Cebula uczynił ucieczno-smutną facecyją, przez okno wyglądając.

Antoni, czyli Ongard, znalazł się nagle przed bramą miasta. Z fosi dolatywał go smrodek mułu. Nie był zbyt intensywny, ale ostrzegał, że skąpanie się w bajurze do przyjemnych należeć nie będzie. Na drodze wiodącej do zwodzonego mostu wały się w piasku i drobnych kamieniach skorupy potłuczonych garnków, patyki i końskie kupy. One też podśmierdywały jak należy. Na szczęście podmuchy wiatru co chwilę przynosiły zapach suszonego siana. Ongard zamrugnął, ścisnął na moment powieki; niezbyt dobrze widział. Powtórzył manewr kilka razy i łzy wypłynęły. Mógł się lepiej rozejrzeć. W fosie rosły jakieś wodne chwasty, trzcina, tatarak, i pływały kaczki. Mur obronny spadał do niej masywnym, stromo nachylonym zboczem wielkich głazów, pomiędzy których wyrastały kępy trawy. Na tym fundamencie stała wysoka na kilku chłopów część postawiona z cegieł. Wieńczyły ją fantazyjne blanki, które zbiegały się ku barbakanowi strzegącemu wjazdu. Ongard obejrzał się. Droga biegła ku trzem pagórkom, na których rosły stare drzewa, przy trakcie także rosły, ale z rzadka. Były różne, najbliżej rozpoznał gruszę, dalej widział chyba wielką lipę, kilkaset kroków za nią rosochatą sosnę. Cóż jeszcze? Stadko kóz, po lewej, w dali kilka chałup krytych słomą... jakieś sto kroków od fosi. Zapewne były to domki rzemieślników, którzy nie mieli pieniędzy na wykup miejsca w mieście.

Gdzie są ludzie? Dostrzegł jakąś babinę z wiązką chrustu na grzbiecie. Widział takie na ilustracjach w dziecięcych książkach dawno temu. Straże? Owszem, po chwili wypatrzył jednego... Jedną? Przez blanki wystawała wypięta goła pupa, plecy jej właściciela skrywała kolczuga. Sytuacja była jednoznaczna.

- A fe! - Skrzywił się.

Ocecił sytuację: obok fosi biegła ścieżka. Idąc na wprost ryzykował, że trafi pod tę wypiętą pupę. Zdecydował po chwili medytacji, że - tak czy inaczej - lepiej obejrzieć gród z zewnątrz, nim wejdzie się do jego wnętrza. W środku trudno będzie ocenić wielkość, policzyć bramy czy choćby dowiedzieć

się, w jakim kierunku wybiegają z niego drogi. Ruszył ścieżką. Coś zadzwoniło za nim. Odwrócił się gwałtownie. Na wysokości twarzy unosił się osobnik wysokości kilkuletniego dziecka, lecz ze starą, pomarszczoną twarzą. Odziany był w ciemnoniebieskie, powłóczyste szaty ze szpiczastym kapturem.

- Dzień dobry, Ongard, jestem Guru, twój przewodnik. Pięć pierwszych rad muszę ci dać za darmo, ale później każde wywołanie mnie będzie kosztować miedziaka. To niewiele, prawda? Ach, jeszcze nie wiesz, jak niewiele, ale się dowiesz. - Odsłonił w wymuszonym uśmiechu żółtawe zęby. - Dobrze czynisz, powiem ci. Powiem za darmo. Masz jeszcze całe pięć darmowych porad. Jak będziesz chciał mnie wywołać, spluń przez lewe ramię, wówczas się pojawię. - Zadzwonił i zniknął.

Ongard patrzył chwilę w miejsce, gdzie przed chwilą lewitował przewodnik, podrapał się w głowę i ruszył przed siebie. Cóż innego mógł zrobić? Minął krowę, która przyglądała mu się badawczo i w końcu zaryczała donośnie, potem z pewną ostrożnością obszedł psa, bo warczał w jego kierunku ostrzegawczo, doszedł do gruszki, pod którą leżały ulegalki. Po krótkiej medytacji podniósł jedną i zaczął jeść. Obserwował mur na drugim brzegu fosi. Widać było, że fortyfikacje przechodziły zmienne koleje losu. Połacie różnokolorowej cegły i nieforemne łaty z polnego kamienia świadczyły, że z jakichś powodów robiły się w nim znaczne wyłomy i łatano je raz z większym nakładem kosztów, kiedy indziej - czym popadnie. Doszedł w końcu w pobliże chałup domniemanych rzemieślników i stwierdził, że za załomem obronnej budowli chroniącej miasto coś majaczy. Zrobił kolejne kilkanaście kroków i dostrzegł prymitywną kładkę położoną na kołkach wbitych w dno fosi. Dostrzegł za chruścianym płótem babinę grzebiącą w ziemi - chyba wyrывała chwasty z jakiejś kapusty czy brukwi - i zawołał:

- Hej, gospodyni, a da się tędy wejść do miasta?

- A jaka ze mnie gospodyni... - odpowiedziała zdziwiona nieco i zaraz dodała: - Da się, co ma się nie dać. Tedy najlepiej. Przez bramę to by was na kopytkowe złupili. A tak darmo wejdziecie.

- Za darmo... powiadacie... - Coś go zaniepokoiło. Coś w dali, co majaczyło pod wielkim dębem, jednym drzew z kępy na najbliższym pagórku. - A tam - wskazał ręką - co to jest?

- Kobieta obejrzała się we wskazanym kierunku i kiwnęła głową.

- Chodzi wam o to, co przypomina wisielca?

- Tak...

- No, to różnie powiadają... że wisielec albo tylko kapota po nim. No, że jedne ludziska chcieli go obwiesić, a z miasta polecieli i ze wsi. Jedni gadają, że go odratowali, a drudzy, że tam wisi i nie ma komu nieboraka pochować. No widzita - dodała ze złością - przecie tu każdy cięgiem ma robotę, od świtania do zachodu, dziciska trza wykarmić, żeby choróbska ich nie wytrzebiły. Trza wam do miasta, to się na to dziwowisko nie oglądajta, po kładce, i najtaniej i najbliżej wam będzie.

Tak, czy owak, wisielec czy kapota, Ongard uznał, że mu szczęście sprzyja, i ruszył dalej. Kładka wyłoniła się w całej okazałości. Przez chwilę zwątpił w to, że jej użycie było dobrym pomysłem. Składała się z dwu cienkich żerdzi. Miejsca było ledwie na dwie stopy. Na środku fosi jakiś złamany fragment przeprawy zwiślał jednym końcem do wody, w której kąpiel z pewnością nie mogła należeć do przyjemnych, o czym przypominał zapach. Ongard spojrzał przed siebie. Jak mu się zdawało, zza kolejnego załomu murów widać było trakt, posuwał się nim wóz jakiegoś kupca, bo był zbyt porządny na chłopski. W każdym razie Ongardowi zdawało się, że widzi, ale gałęzie krzaka rosnącego na kamiennym fundamencie muru zasłaniały widok. Ruszył więc dalej, mijając kładkę, i w końcu zobaczył wyraźnie szarożółtą wstęgę drogi oraz ów wóz. Zadzwonił za nim guru.

- Dobrze czynisz - powiedział i zniknął tak szybko, że Ongadr, obróciwszy się, ledwie dostrzegł szpiczasty koniec jego kaptura.

- Iść do traktu? - Zastanowił się. Po chwili medytacji postanowił, że od tamtej strony, skoro traktem wjeżdżają bogaci kupcy, na bramie muszą łupić jeszcze bardziej. Wrócił do kładki. Co prawda Guru powiedział... Ale... Rozejrzał się. Wypatrzył kawał solidnego kija. Chwycił go, sprawdził wytrzymałość: można się było na nim wesprzeć. Ruszył na przeprawę. Brzdęk!

Obejrzał się, wystraszony. Guru również się wystraszył.

- Nie gap się na mnie! - rozkazał. Ongard z trudem zachował równowagę. - Nie gap się! - komenderował Guru. - Chciałem ci powiedzieć, że dobrze robisz, i ciągle masz pięć darmowych rad.

Ongard brnął, podpierając się kijem. Fosa była płytka. Upadek groził tylko wybłoceniem się i zmoczeniem, ale wędrowiec nie miał najmniejszej ochoty wytaplać się w bajurze.

- Guru - wycedził, sondując kijem dno. - Jak mi jeszcze raz zadzwonisz w takiej sytuacji, to złamię ten kij na twoim grzbiecie.

- Dzy... - Zaczął Guru i najwyraźniej zrozumiał, że to nie żart.

Ongard dobrnął do drugiego brzegu. Dalsza droga... No, nie było dużo lepiej. Ścieżka biegła tym stromym zboczem z głazów. Każdy źle obliczony krok groził runięciem, które prócz błotnej kąpieli gwarantowało i poturbowanie. Wejścia nie widział, ale ufał, że dróżka musi prowadzić do jakiegoś celu.

- Dzy...

- Guru! - warknął. Nic nie dzwoniło. Zrobił jeszcze kilka ryzykownych kroków i dotarł do masywnej przypory. Rozejrzał się bezradnie. Co dalej?

- Dzy...

Potrząsnął kijem. Już widział. Trzeba było zejść prawie do samej wody. Potem? Gdy wspiał się po głazach, dostrzegł dziurę w murze. By wejść, trzeba było pochylić głowę, ale wyłom był dość szeroki, by mogła się nim przecisnąć osoba ze sporym workiem na plecach. Ongard zrobił kilka kroków i znalazł się na brukowanym podwórku pomiędzy dwoma chałupami przyklejonymi do muru, przez który właśnie sprytnym sposobem przeniknął. Za płotem z połamaną furtką po wąskiej ulicy jechał powóz, za nim pod ścianą domu stojącego naprzeciw przechodziła kobieta - nie baba - za nią jakiś dandys i dwóch obdartych chłopców.

- Dzy...? - Ledwie dosłyszał.

- No... Teraz już możesz. Śmiało!

- Dostałeś się do miasta!

- Ta... Jakbym nie zauważył.

To był trzeci dzień jego pobytu w Urgam. Miasto widział spore, liczyło najmniej pięć tysięcy dusz. Niestety, miejsca dla Ongarda najwyraźniej w nim nie było. Pierwszą noc przebidował na ulicy. Druga noc zeszła mu na stryszkach chlewika u szynkarza w gospodzie Pod Słodką Bułką. Cały dzień

czyścił ten chlewik w zamian za jedzenie i picie. Nie zarobił ani miedziaka. Dzień kolejny spędził na szukaniu jakiegoś godziwego zajęcia. W dobrych domach nie potrzebowali służby, sklepikarze na chłopców na posyłki najmowali urwisów, którzy znali miasto jak własną kieszeń. Zapytał murarza, kowala, czy nie potrzebują pomocników. Nie potrzebowali. Zbliżał się wieczór i już się godził z tym, że albo uprosi szynkarza, albo będzie musiał spać na ulicy. W końcu, nie wierząc w rezultaty zabiegu, splunął przez lewe ramię.

- Dzyń, dzyń! No to mamy pierwszą poradę z pięciu darmowych – oznajmił Guru.
- A jak będzie z serii tych, żebym nie odwracał się, bo zlecę do wody, to – jak bóg miły – walnę cię w łeb kijem.
- Będziesz zadowolony! – obiecał uroczyście Guru. – Słuchaj. Znajdź ulicę Igielną.
- Już wiem, gdzie jest. Właśnie mnie stamtąd przegoniono.
- I nic dziwnego. Posłuchaj. Znajdziesz tam kamienicę pod Czerwoną Gęsią.
- Byłem tam.
- To idź jeszcze raz i zapytaj o rajcę Kuzynofa.
- Jego fagas mnie wyrzucił.
- Powiedz, że jesteś przybyszem, który potrzebuje pomocy.
- A co ja mówiłem?
- Pewnie że szukasz zajęcia.
- To co? Lepiej być żebrakiem?
- Powiedz szczerze, że jesteś włóczęgą i chcesz się osiedlić w tym mieście. Dostaniesz trzy talary. To baaaardzo dużo.

- Ongard, ty umiesz czytać? – zdziwił się rajca.
- No... czytam.
- Może jeszcze umiesz pisać?

Ongard sięgnął po pióro.

- Mogę pisać. Ręka odwykła... ale...
- No to pisz. „Ja, Ongard, proszę o wspomóżenie...”

Ongard smarował z namaszczeniem, pilnując, by nie zaplamić karty. Rajca patrzył mu przez ramię i kiwał głową.

- Taaa.

Talara rozmienił na dziesięć srebrnych i mieszek miedziaków. Dwa talary zostawił u rajcy. Kombinował, że jeśli mu kto głowy nie rozbije, zawsze będzie mógł po majątek wrócić. A jak rozbije, na nic mu się nie zdadzą. Nie miał powodu, by nie wierzyć miejskiemu dostojnikowi, uznał, że powierzenie mu majątku jest najrozsądniejszym sposobem na zmienne koleje losu. Noc spędził u szynkarza, u którego wcześniej nocował, Pod Słodką Bułką, lecz tym razem w przyzwoitej izbie. Wymył się i oprał, najadł do syta. Ale odmówił wszelkich luksusów, nawet dzbana wina. Zamiast niego zamówił sobie parzonych ziół. Wy tłumaczył szynkarzowi, że nie zarobił jeszcze ani miedziaka i, jeśli nie wybrał najtańszej gospody Pod Pluskwą, to jedynie dlatego, że szynkarzowi należała się wdzięczność za pomoc, jakiej udzielił wcześniej wędrowcowi.

Następnego dnia z rana udał się na poszukiwanie mistrza, który miałby ochotę przyjąć go terminu. Taki był bowiem spisany warunek udzielenia mu owych trzech złotych talarów: że zacznie naukę rzemiosła, a na koniec założy kram na rynku w Urgam. Ongard spodziewał się, że sprawy będą szły równie kiepsko jak wówczas, gdy szukał jakiegokolwiek zajęcia. Zdziwił się jednak bardzo. Już pierwszy mistrz, kowal, usłyszawszy, że ma do czynienia z kimś, kto dostał tak wielką pomoc, posłał chłopca do mistrza piekarskiego, kuśnierskiego, igielnika oraz kilku innych. Sam nie potrzebował nikogo do terminu, ale – jak powiedział – liczył, że w zamian za dobrego ucznia dostanie inną pomoc.

Tak Ongard przyjął się do mistrza Hebelki, który był stolarzem. Lecz nie byle jakim! Robił stoły i stołki oraz szafy z kręconymi kolumnami dla najbogatszych państwa. Miał kamienicę w rynku szeroką na dwanaście dużych kroków i wysoką na cztery piętra. Przyjęcie się nie było całkiem proste. Hebelko spojrzał na niego poprzez druciane okulary, skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę, przekrzywił głowę, jakby chciał odpowiedzieć przecząco na pytanie o to, czy ma miejsce na ucznia. Potem zrobił jeszcze kilka dziwnych min i wreszcie powiedział:

– Znaczy, chcesz się uczyć na stolarza? Powiadasz?

– Chcę. Obiecałem rajcy.

– Powiadasz? No tak, tak... A masz ty jakieś pojęcie o drewnie?

– Nie wiem. Chcę spróbować.

– Spróbować, powiadasz. No to... Powiedz mi. Nie, spójrz tam. – Wskazał na regał, na którym leżały dechy, deski, listwy i kołki. – Podejdź i wybierz materiał. Jakbyś miał zrobić choćby półkę, ale taką, żeby nikt ci jej nie zwrócił, albo co gorzej, nie rozbił na głowie. Wybierz dobry materiał z tego, co tam widzisz...

Ongard gapił się dłuższą chwilę. W końcu jego uwagę przyciągnęły przykurzone poczerniałe deski w kącie.

– No dobrze, kochanieńki. Powiedz teraz, czemu wybrałeś to drewno, a nie na przykład dąb. Czy dlatego, że wyglądało najbardziej niepozornie, a wszystko inne było błyszczące i ładne, czy był jakiś poważniejszy powód?

– To jedno drewno wydaje mi się dość długo odleżane. Co mi po dębie, jak jeszcze nie wysechł i się z czasem pokręci?

Hebelko słuchał, kiwając nieznacznie głową, i na końcu powiedział:

– Dobrze! Coś tam wiesz... przyjmę cię na ucznia.

Tak Ongard dostał prycę, miskę do mycia i miskę z jadłem u mistrza Hebelki. Tego dnia uznał, że

życie w Urgam jest całkiem proste. Zostały mu jeszcze cztery darmowe radu Guru, pomijając to, co mogły być warte, ze sto miedziaków na kolejne porady, srebrne i jeszcze dwa całe talary. Zarabiając jako uczeń u Hebelki miedziaka, w miesiąc uzbiera na nowe buty, w drugi na nowy chałat. W rok zostanie czeladnikiem, a może wcześniej, i będzie mógł na straganie mistrza sprzedawać swoje prace kupcom, których ponoć nigdy nie brakowało. Życie miał zapewnione.

- Dzyń, masz słuszość - potwierdził Guru - o ile oczywiście czegoś nie popsujesz.

Co miał popsuć? Czyż można było cokolwiek popsuć? Nawet gdyby rajca Kuzynof wymyślił jakiś kruczek - a Ongard nie miał pojęcia, czemu miałby to robić - by złamać umowę, i gdyby zechciał odebrać swojego talara, to mógłby mu je oddać. Kłopot powstałby, gdyby coś się stało z mistrzem Hebelką, ale skoro pracował w mieście od wielu lat, to cóż by to mogło być? No, chyba żeby zupełnie nie podołał robocie.

Podołał. Pierwsza robota to był połamany stołek. Ongard sam ją sobie wybrał i znowu zasłużył na pochwałę Hebelki. Trzeba było podbić klinami rozeschnięte nogi; jedyna sprawa, w której potrzebował pomocy, to przygotowanie kleju. Po stołku już dalej poszło. Uczył się heblować, piłować, wygładzać, toczyć, rozprawdzać politurę, szlifować pumeksem i potłuczonym szkłem. W drugim tygodniu spróbował poostrzyć piłę.

W trzecim sprzedał własnoręcznie zrobione krzesło za srebrnego i czterdzieści miedziaków. Pochwalił je Hebelko, pochwaliło jeszcze kilku mistrzów. Srebrny i miedziaki były naprawdę uczciwie zarobione. Ongard wymyślił, że za te pieniądze kupi sobie świder i trzy dłuta. Akurat na tyle starczało. Ku jego zdziwieniu Hebelko skrzywił się na ten pomysł.

- A nie. Nie... Tobie, chłopcze, jeszcze czas na naukę, nie na posiadanie.

A nauka szła mu bardzo dobrze, bo nie musiał pamiętać wszystkich sposobów. Czytał notatki mistrza Hebelki, spisywał je do kajetu, wymyślił sposób na robienie zakładek, by szybko znaleźć, co potrzeba, więc nie musiał pamiętać, ile razy mieszać politurę, w jakich proporcjach, jak długo kłaść i ile do niej oleju potrzeba. Miał spisane, które ostrza do hebli jaki kolor mają i kiedy cięto jakie drzewa. Nic dziwnego, że jego wyroby stały się szybko prawie równie dobre, jak mistrza Hebelki.

- Nie miej do mnie pretensji, młody - gadał mu mistrz, oglądając już to zydel, już to tralkę do balustrady, którą uczeń pięknie obrobił - że cię jeszcze nie wyzwalam. Może i sam bym cię nawet wyzwolił, ale cech nie pozwala. I sumienie. Albowiem czas na samodzielność przychodzi nie wtedy, gdy masz już dość zręczne ręce, ale gdy ci się tu - klepał się w czoło - poukłada.

Wszelako pojawił się Manius. Nowy chłopak do pomocy. Miał olbrzymie, odstające uszy i długie, za długie do swej chudej postaci ręce. Dłonie też do tych rąk nie pasowały, były za wielkie, miały za długie palce. Manius twarz miał ruchliwą, ciągle robił jakieś miny i - jak jego matka ostrzegała - oszukiwał i łgał przy każdej okazji, a często i bez. Rychło się okazało, że fajki popała, okowity pociąga i za dziewczuchami lata. A za wielkie, za długie łapska do roboty nadają się ledwo-ledwo. Tyle, żeby Hebelko nie zdecydował się go na zbity pysk wyrzucić.

Pewnego dnia Hebelko zawołał Ongarda. Brakowało okowity, którą rozrabiali politurę. Brakowało Maniusia. Rada w radę, ruszyli do gospody Pod Pluskwą. Czas jakiś później pół miasta miało ubaw, a oni wstyd, wlokąc wrzeszczącego huncwota, który pluł, kopał, usiłował gryźć po rękach i wyzywał ich od najgorszych.

Po tym incydencie Hebelko zafrasowany siadł z Ongardem za stołem.

- Powiem szczerze, roboty jest coraz więcej, starczy dla nas obu i nawet dla takiej psiej krwi. - Skinął

głową w kierunku izby, w której za zawartymi grubym dębowym dylem drzwiami Manius dochodził do trzeźwości. – Masz świder i dłuta?

– Kupiłem sobie jeszcze piłę, hebel i ostrza do niego i... jeszcze parę drobiazgów.

– Bo z tym Maniusiem w mieście to będzie bieda. Trzeba nowego warsztatu dla tej roboty. Tak sobie myślę... Starczy ci na taką dużą piłę moja-twoja?

Ongard podrapał się po głowie.

– Takiej nie mam... Robimy precyzyjne roboty... No, ale starczy.

– Tak sobie myślę... Mi trzeba desek. Maniusia trza odsunąć od kokot i zajazdów. Tobie trza srebrnych, byś na nogi stanął. Pobudowałbyś se warsztat na podgrodziu. Różnąłbyś deski dla mnie. Robota prosta. Zbyt pewny, nawet jakby mnie choróbko powaliło, desek wszyscy potrzebują, zawsze je sprzedasz z zyskiem, a fach już masz w rękach. Na papiery mistrza poczekać musisz, ale utrzymywać możesz się już sam. Dostaniesz ode mnie patent majstra tartaczego i czeladnika Urgam. To trochę za wcześnie, powinienś jeszcze poterminować, bo prócz drewna są inne rzeczy do poznania, ale muszę cię usamodzielniać. Musimy tak zrobić, zwłaszcza przez Maniusia. Bo nam się chłopak zmarnuje.

– Oj, dyń, dyń – powiedział Guru, najwyraźniej zaniepokojony.

Pomimo zastanawiającego podzwaniania szło dobrze. Ongard znalazł na podgrodziu opuszczoną chałupę. Była w dość kiepskim stanie, lecz co to dla takich drzewników jak on, a choćby i Manius, poradzić sobie z naprawami. W kilka dni poutykali dziury, wstawili nowe okna i drzwi, wyrwali ze ścian kilka spróchniałych i pogryzionych przez kołatki belek. Za miskę pieczonych ziemniaków chłopaki z sąsiednich chałup oczyścili rowki odprowadzające wodę i poprawili poszycie, za miedziaka uczeń murarski mistrza Maurycego nawiózł kamieni i poukładał na podwórku.

Praca w nowym warsztacie ruszyła szybko i okazała się łatwa dla nich obu: łobuzy z podgrodzia były chętne do pomocy nie za miedziaki, ale za kaszę i kwaśne mleko. Ongard mógł się zająć swoimi robotami, bo Manius z wielką ochotą, to trzeba było mu oddać, i umiejętnością, nadzorował wyrostków w pocie czoła piłujących deski dużą piłą. Wynalazł system pracy we czterech, dwóch piłowało, dwóch leżało bez ducha, ledwo zipiąc, bo nadawał takie tempo, że po pacierzu każdy padał jak zabity.

Było dobrze, aliści którejś nocy obudziły Ongarda dzikie krzyki. Ledwo oprzytomniawszy, z gaciami utrzymanymi w garści, popędził nad fosę, gdzie inni mieszkańcy podgrodzia z pochodniami, taplając się w błocie, usiłowali wydobyć coś z topieli.

Manius jednak nie wytrzymał abstynencji i wyprawił się do szemranego szynku Pod Pluskwą. Spił się, stracił nie tylko wszystkie swoje miedziaki, ale jeszcze i piłę moja-twoja, która była wszak podstawą ich utrzymania. Urznięty w trupa oczywiście zleciał z karkołomnej kładki i niechybnie zakończyłby swój żywot w bloku, gdyby nie niejaka Kaśka, która za potrzebą pewnie w krzaki szła i larum podniosła.

Nawet oprąć hultaja nie można było, leżał prawie bez ducha. Co jakiś czas podrywał się i próbował wykasłać z płuc błoto, którego się nawciągał jak kaczor kartofli gotowanych. Ongard najął dziewczuchę, żeby go doglądała, i ruszył w miasto, do strażników, coby piłę z nimi odzyskać, wszak nie godzi się zastawiać nie swoich rzeczy. Piłę i owszem, odnalazł, lecz zamiast do niego, trafiła pod

klucz do ratusza do czasu procesu, który miał o niej rozstrzygać. Wracając przez feralną kładkę, zastanawiał się, czy aby ujrzy Maniusia jeszcze żywego i trudno mu było się zdecydować, czego bardziej pragnął: zastać w warsztacie lamentujące baby z gromnicami czy tego łajdaka na nogach.

Maniś żywym się ostał i trudno to było przeoczyć. Siedział przed warsztatem i jęczał w głos, że trzy chałupy dalej było słychać.

- Dyń, dyń, uważaj, to łotr i oszust!

- Masz rację, Guru - odpowiedział Ongard, szukając dość tęgiego kija.

Wrzaski i tym razem nieudawane lamente aż odbijały się od murów miasta. Ongard prał i dopiero, gdy mu ręka osłabła, zaczął słuchać sensu wyrzekań Maniusia. Powtarzał słówko „złodzieje”.

- Łokradły me, ło ja nieszczęśliwy, złodzieje, złodzieje.

- Złodzieje? Sameś piłę wyniósł! Twoja była?

- Majster, nie pierta, jak miałem piłę nie postawić, jakem miał dwa asy w garści.

- Jeszcześ w karciochy ciął, oberwańcu jeden!?

- A chciałem się łodegrać, ale one trzy asy na stół położyli. Majster, przecie wiadomo, że gra była łoszukana. Pięciu ... ło jesusicku, jesusicku boli, boli!

Na wrzaski rozpaczliwe dwie dziewczuchy się zleciały i chłopcy z sąsiedztwa. Dziewuchy w bek, że Maniusia zabije, chłopcy, że przecie tylko se popił... Ongardowi ręka opadła.

- Dzyń, dzyń, jak mię poprosisz, to ci powiem, co teraz trza zrobić - powiedział z radosnym uśmiechem Guru. - Naprawdę wiem!

- Ta, wiesz... Co ja mogę z takim hultajem?

- Ale żebyś nie łąził do starego wójta! - zdążył jeszcze krzyknąć Guru przed zniknięciem, które uchroniło go od łupnięcia zgniłym kartoflem.

- A to wy, majster, nie znacie starego wójta? - Maniś, aż gębę rozdziawił. - Nie, no, do wójta będziemy musieli pójść, bo jak się będziem sądzić o naszą piłę, to trzeba wiedzieć, co i jak.

Maniś dostał jeszcze po grzbiecie za tę „naszą” piłę. Ale Ongard uznał, że szkody z wysłuchania wójta, którego ongi burmistrz wyrzucił z urzędu, nie musi być wielkiej.

Po prawdzie to stary wójt gadał rzeczy, które Ongard dobrze wiedział. Tyle że co chwilę powtarzał „złodzieje”.

- Złodzieje wezmą dwanaście miedziaków za dopuszczenie sprawy przed sąd grodzki, miedziak za spisanie sprawy weźmie złodziej pisarz, złodziej woźny... A wicie, że złodzieje biorą po dziesięć miedziaków od wozu, jak wjeżdża przez bramę Ceglarską? Widzieliście, jaka ciężka szkatuła stoi u strażników?

- A wszystko przez to, że rajca Kuzynof wsadził swego wójta Grzdaczka. Bo wójt odzegnał się od wszelkiego sądenia. Tera wszystko idzie przez sąd grodzki. A w grodzkim, majstrze, nie macie co szukać, oni tam zawsze miastowych bronią. Złodzieje!

- A nie było tak - zapytał mimo wszystko Ongard - że burmistrz z rajcami wyrzucili was z wójtostwa, jakeście Cygana Michałkę chcieli powiesić za to, że kował Racymin kuł łośki z felernego żelaza?

- A przecie Michałko łu niego dymał w miechy!- przypomniał z oburzeniem stary wójt.

Sprawa piły, jak to zwykle bywa w sądzie, okazała się skomplikowana.

- A nie daliście Maniusiowi tej piły czasem w odrobek? - dopytywał się pisarz. - No nie, majstrze, ja stoję po waszej stronie, hultaj w kozie powinien posiedzieć, najlepiej w dybach, tam u was na podgrodziu to by za starego wójta zadyndał za złodziejstwo jak amen w pacierzu. Za piłę, jeszcze do przecierania desek, w pół pacierza by mu sznurek wiązali. No ale u nas, wiecie, proces procesem, wiadomo, kto winny, ale ma się Manius prawo wytłumaczyć, a co najgorzej - karty sprawa honorowa, i jak piła poszła w zastaw, to ktoś musi zapłacić Izaakowi Kohenemu, coby piłę z lombardu wykupić.

- Ja mam płacić? Przecie pójdę do kowala, to nową dostanę za miedziaki.

- No nie, majstrze... Jeśli ustalimy, że Manius piłę wam ukradł, to piłę oddajemy wam, a nie Izaakowi, no bo wasza.

- No przecie, że ukradł.

- A jak powie, że ino wynióśł?

Stracił majster pół dnia na grze w słówka. Wrócił bez niczego. Nawet co do tygodnia nikt mu nie powiedział, kiedy będzie proces.

- A nie mówiłem - odezwał się Manius - że złodzieje?

- A idźże do jakiej roboty.

- Majster, przecie piły nie ma, to co mam robić?

Rad nie rad musiał Ongard wyłożyć srebrne na piłę. Prawdę powiedziawszy, było go stać. Ale chciał wydać i na przyodziewek, i dla siebie, i dla tego hultaja Maniusia, a też marzył mu się taki brzeszczot, którym mnożna było wielkie dęby ciąć, i który czterech chłopów obsługiwało.

Trudno. Aby robota szła, musiał kupić zwykłą piłę.

Hebelko powiedział: straty w każdym interesie normalna rzecz. Nie raz coś się mu cennego połamało, nie raz go uczniowie okradli, zdarzyło się nawet, że mu warsztat płonął, bo pijany czeladnik po nocy przy świecy postanowił poprawić politurę na blacie. Ongard pogodził się z tym, że Manius to jego nieszczęście. Swoją drogą, swój rozum miał. Pijany, ale te asy przyuważył. A do końca całej winy na niego zwałać nie można. Hebelko ostrzegł Ongarda, że i takie rzeczy bywają, że konkurent niszczy majstra różnymi okrężnymi drogami. Jak se ten popija, to przekupi szynkarza, by mu wódkę z piołunem podał, od której w głowie się miesza, jak mistrz nie pociąga, młodemu uczniowi kokotę podeślą, żeby go do złego namówiła. Takie rzeczy bywają, lecz, jak obaj się zgodzili, w tym wypadku był by to dziw nad dziwy. Przecie drugiego mistrza stolarskiego w mieście nie było, a trudno, by Ongard zawadzał krawcowi czy kotlarzowi. Manius był winien sam z siebie, nikt go do szynku Pod Pluskwą nie wyciągał.

- Ale - powiedział sobie Ongard w samotności - jakby miejscy strażnicy częściej tam zaglądali, to by nie było tylu hultajów i naciągaczy i Manius straciłby najwyżej garść miedziaków, a nie cenną piłę.

Kolejna wizyta w ratuszu kosztowała miedziaka, bo jako że do urzędu się udawał, nie mógł włożyć przez dziurę w murze, tylko przez tę bramę, nad którą pierwszego dnia oglądał w całej okazałości wypiętą dupę strażnika. Raz kolejny pisarz wypytywał go ze szczegółami i zapewniał, że jak najgoręcej jest za tym, by piłę majster odzyskał. Owszem, sprawy się nieco ruszyły do przodu, bo Ongard spotkał Icka Kohenema i się dogadali, co by w sądzie razem wystąpić, albowiem Icek dowiedział się, że strażnicy znaleźli tych od pięciu asów, spitych na umór, zaprowadzili do kozy, gdzie z nich wytrzęsiono i znaczono karty, i miedziaki, które Manius dostał w zastaw za piłę. Niech ratusz odda Ickowi miedziaki, Ongardowi piłę, wytrzepie różgą hultajów karcarzy i Maniusa.

- I to będzie bardzo sprawiedliwy wyrok - potwierdził z entuzjazmem pisarz. Po czy rozłożył wielką księgę, w której były daty posiedzeń sądu, i mina mu się wydłużyła. - No tak, posiedzenia mamy rozpisane trzy miesiące naprzód. Niestety... Ale wpisuję was na kolejkę w pierwszej kolejności. W pierwszej kolejności! - podkreślił, po czym pokazał im, że naprawdę na urzędowej karcie wpisuje ich przed awanturą o to, czy jajka zniesione przez proboszczową kokosz w stodole mistrza Chwalipiętki są przez tę kokosz znoszone.

- Wasza sprawa jest prosta, a tu gospodyni proboszczowa swoje, pokojowe Chwalipiętki swoje, i jak straż nie upilnuje, za kudły się biorą, ślepie se chcą wydrapać, kochani, tumult taki, że strach podejść. - Pokręcił ze zgrozą głową.

- No i wydudkał nas jak złoto - stwierdził smętnie Kohenem. - Sędziemu się rano wstawać nie chce, w tygodniu ze dwa, trzy razy sądzi, a ten pisarczyk wszystko spycha na później. Rajcowie rozpuścili ich jak dziadowski bicz - biadolił. - Wiem, na co czeka: jak ci hultaje od kart w kozie do wszystkiego się sami przyznają i zgodzą, że kary odpracują przy czyszczeniu fosy, a miedziaki i karty miastu oddają w zamian za puszczenie nieprawości w niepamięć, to zaproponuje: mnie pół sumy za zastawioną piłę, wam piłę, ale że zapłacicie za przechowanie jej w ratuszu, i odejdziemy wszyscy obdarci.

Wracał smętny z miasta, omal nie zleciał z kładki do fosy. Nie chciało mu się nadkładać drogi do bramy, to fakt, ale przecie rajcowie nieźle żyją sobie z podgrodzia, pasuje im, że przez dziurę w murze baby przynoszą jaja i kwaśne mleko, to mogliby postawić jakiś przyzwoitszy mosteczek. Sam by to zrobił za kilka srebrnych. Ze złością kopnął psa, który mu wyskoczył na drogę, kundlisko nie pozostało dłużne i w stosownej chwili, milczkiem, zaszedłszy go od tyłu, użarło w łydkę. Obiecywał sobie opruć Maniusa, ale nadarzył się stary wójt po drodze, otoczony wianuszkami słuchaczy. Prawił coś, powtarzając „łone kradną, łone obdzierają nas do skóry”.

- A wiecie, że na ratusz oddajemy każdej niedzieli czterdzieści jaj z tych uzbieranych z targu?

- Nie czterdzieści, tylko czternaście - odezwał się jakiś młodszy męski głos.

- Czterdzieści czy czternaście, co za różnica, jedno jajo - zaperzył się wójt.

- Wójcie, najpierw się odrobinę rachować nauczcie, czterdzieści to trzy i pół tuzina, głupoty prawicie.

- A czternaście to co? - Stary prawie rzucił się bić oponenta.

- A kto są te łone, wójcie? - Zły Ongard czuł chęć wyładowania się w jakiejś awanturze.

- A, co może to ja? A czemu to z nosem na kwintę wracacie? Prawie rowek w ziemi za wami zostaje. Ze spowiedzi czy z ratusza? Co, łoddali wam te pile?

- A durniście, wójcie, zapytajcie Maniusia, to może was nauczy, że czternaście to tuzin i dwa, bo wstyd słuchać bzdur, jakie powiadacie!

- Dzyń, dzyń. - Pojawił się od dawna niewidziany Guru. - Dobrze ci szło do tej pory, masz jeszcze cztery rady za darmo, a dawno mnie nie wzywałeś, to ci powiem: nie trzymaj z Maniusiem, nie trzymaj ze starym wójtem, trzymaj z rajcami i mistrzem Hebelką.

- Napijesz się? - zaproponował zafrasowany Ongard duszkowi. - Przecie do lustra samemu toastów spełniać nie wypada.

- A... chętnie - stwierdził po chwili namysłu osobisty przewodnik.

Ongard zbudził się z odczuciem, że coś złego nadciąga, i właśnie szósty zmysł wezwał go do stanu czuwania, by ono nieszczęście powstrzymać. Aliści oprzytomniawszy zrozumiał, że tym, co w śnie nieznośnie mu przeszkadzało, było przeraźliwe chrapanie Guru, który najwyraźniej słabszej trochę głowy będąc, rymnął się na warsztacie między wiórami na wznak, i co dech trąbił tak głośno, że się z powały coś sypało.

Chrapanie było przeraźliwe, nawet jeśli wziąć pod uwagę normalne skutki kaca. Cierpiał nie tylko on, ze stolarni wyniósł się kocur Kacper, kury na podwórzu pogdakiwały w takt niespokojnie. Ongard pomimo tego wszystkiego, a może właśnie z pomocą owych nieznośnych dźwięków, nie tylko wrócił do rzeczywistości, ale i zaczął powoli sobie przypominać dzień poprzedni, co to skończył się osuszeniem pękatej butli okowity, która do politurę zwyczajnie służyła.

Spity Guru powiadał mu dziwne rzeczy. Że mianowicie jego rolą jest, a właściwie bez roli czy szlag, jak zwał, tak zwał, ma misję do spełnienia. Że się tumult na podgrodziu robi. A on co? Ma stanąć po właściwej stronie. Jakoś tak. Że zazwyczaj owa właściwa strona to Kuzynof i reszta rajców.

Sięgnął po garniec z kwaśnym mlekiem, brzęknął kubkiem, i Guru zajęczał:

- Ło jezusicku, nie urywajta mi łba.

- Ta, nie urywają, tylko kaca mata jak studoła. Łyknijże se. - Ongard podał mu kwaśnego mleka.

Najwyraźniej zwyczajny takich okoliczności duszek zagarnął łapczywie kubek i przez chwilę słyszeć było tylko grzdykanie gardeł.

- To powiadacie, Guru, misję mam - zagaił Ongard, gdy opróżnili garnce, a on złapał oddech po łapczym pochłanianiu eliksiru znoszącego skutki nocnego szaleństwa.

- Że co? - zdumiał się przewodnik.

- Misję... że ja mam misję.

- A... Misję... Wy? - Guru spróbował użyć rozumu i prawie wrzasnął: - Auć! - Chwycił się za głowę. Ongard sięgnął po jego kubek i dołał białego panaceum. Duszek znów pociągnął, aż mu się gardło wydeło jak bania.

- Misję... A tak! Macie misję! Oczywiście... Trza ten świat naprawić. To jest wasza misja.
- Że co?
- Świat naprawić.
- A nie można naprawy tego świata zacząć od połatania dachu? Na co mi jakaś ta... misja? Nie można zwyczajnie porządnie i równo deski rżnąć i je przedawać?
- No nie... Jak bez misji? Bez misji nie można.
- A czemuż to? No? Mamże u was darmowe porady, odpiszcie se jedną i odpowiedzcie.

Guru zmarszczył brwi, spojrzał na czubek swojego nosa i jęknął.

- Boli. Boli głowa. Nie wiem, czemu bez misji nie można. Pewnie się i da. Nikt chyba o tym nie pomyślał.

Ongard raz kolejny zmarnował pół dnia w ratuszu. Kolejny raz pisarz zapewniał, że trzyma stronę pokrzywdzonych, i kolejny raz wpisał sprawę na początek kolejki, przesuwając ich przed spór o kozę, co zeżarła na rynku miotłę cieciowi.

Wracał wkurzony przez felerną kładkę i tym razem zgubiła go rutyna. Na samym środku fosy, gdzie złamana żerdka nurzała się w bajurze, trzeba było zwolnić i stawiać kroki z najwyższą ostrożnością. Nie trafił stopą na podparcie, rymnął do wody i skąpał się po czubek głowy. Wracał do warsztatu, wytrzepując błoto z rękawów, wybierając zbutwiałe liście z włosów, usiłując choć trochę wykręcaniem osuszyć odzież.

Coś go podkusiło, gdy zobaczył, że przed chatą wójta tli się ognisko, a wkoło kupa luda. No bo jak ma mieć misję, to trza temu durniowi, co czternastu od czterdziestu nie odróżnia, przykopać. Z daleka słyszał podniesione głosy, ktoś namiętnie argumentował, kilku innych wtórowało mu w zupełnej zgodzie. Co chwilę wspólnie wrzeszczano „złodzieje!”.

- No i jak tam, wójcie, wicie już, ile to tuzinów czterdzieści? - zagaił, gdy się zbliżył do zbiegowiska.
- A jak wasza piła, oddali? - zapytał ktoś z zebranych.
- A, piła, wciórności, w ratuszu.
- A widzita - wrzasnął wójt - mówię, że złodzieje.
- Złodzieje, złodzieje! - powtórzyli ochoczo.
- A ty co? - Ongarda chwyciło naraz dwóch młodszych chłopów - chcesz odzyskać piłę, czy nie? Jesteś z nami, czy ze złodziejami?
- No powiedz szczerze, kim są ci z ratusza? - zapytał były wójt, podsuwając mu pod nos sękaty kij. Ktoś łupnął Ongarda w plecy albo niżej, aż świeczki stanęły mu w oczach. Wykręcił się majster i zobaczył osobnika z łbem ogolonym na łyso, wysmarowanym dziegiem przeciw wszom. Osobnik patrzył zajadle i najwyraźniej blokował drogę w tył.
- No jak?

- Złodzieje! - Ongard wydusił z siebie.

Ongard usłyszał hałasy przed chałupą. Stał tam wójt, kilku chłopów, był wśród nich Maniuś. O coś głośno się sprzeczali. Przez uchylone okno dobiegały go urwane zdania.

- Łon miastowy. Nie można go do tego mieszać!

- A co gadata, jaki miastowy, przecie mu piłę trzymię w ratuszu. Z nas wszystkich najbardziej stratny. Jaki interes ma z łonami trzymać?

Rozmowa, a właściwie kłótnia, polegała na tym, że powtarzano tę kwestię w różnym tonie i kolejności, dodając na okrasę, że majstrowi źle albo dobrze z oczu patrzy. Nie zdążył się Ongard dobrze zdziwić, a tym bardziej zrozumieć, o co chodzi, gdy delegacja podeszła pod drzwi chałupy i zaczęła się niezbyt natarczywie dobijać.

- Bo widzita... Grzdzaczka na jajkowym łoszukuje. - Stary wójt zaczął sprawę wyłuszczać.

- A co ja mam...

- No bo - podrapał się po głowie wójt - trza by dusze na podgrodziu porachować. Ma być po jajkiemu na dwie niedziele od chłopów i po jajkiemu od baby. Dziewuchy, chłopaczyska i dzieciśka się nie wliczają. Tak że po mojemu wychodzi, że my tych jajków za wiele dajemy.

Ongard spojrzął za siebie. Na warsztacie schła właśnie robota. Misterne szaragi, które mu było pilno wykończyć dla rajcy Kuzynofa.

- Poczekajcie ze dwa pacierze, dokończę kłaść podkład.

Walery Grzdzaczka najwyraźniej nie miał ochoty bronić swego urzędu. Posłuchał lamentów kupy wieśniaków, żarliwej przemowy starego wójty, podrapał się w głowę i powiedział:

- No, to wybierzcie se kogo chcecie na wójta, tylko trza to obieranie wedle obyczaju prowadzić. Trza dzbany przynależne pretendującym ustawić, a ludziska będą wrzucać na nich kule. Jako by był jeno stary wójt pretendentem, to kaźden będzie brał po dwie kule, czarną i białą, i jedną wedle uznania wrzuci. A potem się przeliczy, i będziecie mieli wójta, abo nie.

Ongard widział w oczach Grzdzaczki uśmiech i ironii, i zadowolenia. Tajemnicy nie było, że Walerian talary robił na handlu futrami. Jako że był mniejszym rajcą, musiał z nadania ratusza jakoweś urzędy przyjmować. Aliści najpilniej musiało mu być do handlu, przez co sprawy podgrodzia szły kulawo. Było całkiem naturalne, że przy lada okazji chciał się pozbyć ciężącego mu zajęcia i cały czas poświęcić na to, co brzęczącą i błyszczącą monetę przynosiło garściami. Wszelako Grzdzaczka jaki był, to był, lecz rachować znacznie dalej niż do czterdziestu potrafił, był piśmienny.

- A wy, majstrze Ongard, nie chcieliby w szranki stanąć ze starym wójtem? - zapytał Grzdzaczka.

- A nie, nie, urzędy to nie dla mnie.

- No przecie mówiłeś, że mam misję. - Zdziwił się, gdy Guru zadzwonił ostrzegawczo, a nawet z

trwogą.

- Ale trza wiedzieć, z kim misją wieść - odpowiedział ze złością Guru i zniknął.

Ongard został sam, gapiąc się w papiery i przyświecając świecą. Grzdaczka oddał urząd, z nim oddał rachunki, i najwyraźniej zadowolony wrócił do swej kamienicy w mieście. Nowy stary wójt ludziskom naobiecywał: że bruk na placu, gdzie mieniali się gęsiami na sery i na odwrót, a czasami nawet coś za miedziaki sprzedawali, kamieniem wyłoży, co by se kumochy nóg nie błociły. Że jajec będzie mniej zbierane z tych, co to co do ratusza szły. Że tak w ogóle będzie lepiej. A on teraz zaczął liczyć, na co naprawdę starczy.

- Po pierwszymu, to się same będziemy rządzili. Psu na budę sądy w ratuszu, bo one niczego nie rozsądzają, ino miedziaki nam zabierają - dał się wójt do zebranych. A zebrani wrzaskiem ogłaszali mu poparcie. - Majster Ongard zajmie się naszymi rachunkami. Łobiecał - tłum wrzeszczał z radości.
- Bedzie lepiej!

- Tak, lepiej! - wrzeszczeli ludziska.

Jajcy faktycznie wyszło po rachunkach pięć mniej. Ongard podrapał się w głowę. Pięć jajec w miesiąc na tyle luda? Trochę mało, co by było lepiej. Bruk na placu? Brukarz brał miedziaka za obłożenie płachty. Plac miał ze ćwierć morgi... Sto płacht, jak by nie liczył.

Stary nowy wójt stukał do drzwi. Minę miał markotną i nie dziwota, bo mu ślepią ktosik podzelował. Mrugał co chwilę podbitym okiem, unikając spoglądania Ongarowi w twarz.

- No, opraly me - przyznał. - Ludziska się zebrały na placu przy straganach i obiecały oprać jeszcze, jak czego z brukowaniem nie wykombinujem.

- A było trzepać jęzorem po próznicy? - Ongard wójta nie pożałował.

- A bym nie gadał, to by mnie nie łobrały.

- Ale gdyby nie łobrały, to po pysku byście nie dostali. Aleście handel zrobili. - Ongard pokręcił głową. Pozbierał z warsztatu papiery i przysunął do światła. - Zanim żeście choć słowo palnęli, trza było choćby krokami obmierzyć plac.

Wójt zrobił wielkie oczy. Żądanie było wielce przesadne, jeśli pamiętać o kłopotach, jakie miał z rozróżnieniem czterdziestu i czternastu.

- Powiadata... - stęknął dla pokazania, że cokolwiek miarkuje.

- A powiadam. A nasz plac jak jedna trzecia rynku w mieście. A wiecie, że na reperacje rynku składali się wszyscy sukiennicy, cały cech musiał coś dać. A my tu co mamy? Jajec trochę, kapusty, i chude kasze. Nie ma mowy o wybrukowaniu całości.

- A część?

- Część? Trza by pogadać z mistrzem Maurycym. Może by co spuścił, jakby się dogadać, że ludziska same kopac będą i pierwszą warstwę głązów położą.

- A może nie trza kopac? - zapytał z nadzieją w głosie wójt. - No... jakby tak skrzyknął trochę ludzisków i zwyczajnie kamienia z pól by nawrzucały...

- Znacie się na brukach jak wilk na gwiazdach- pokiwał głową Ongard. - Psu na budę nie zda się taka robota. Na spodzie muszą być głązy, na górze równo ułożone kocie łby. Inaczej kamienie w błocie potoną, a ludziska jeszcze nogi połamią. Robota musi być porządna. Jak nie, w trzy niedziele cała fuszarka wyjdzie na wierzch i dopiero nam garby obiją.

Ludziska były wkurzone. Chłopi machali pięściami, kobity brały się hardo pod boki i pyskowały aż się przekleństwa echem od miejskich murów odbijały. Ongard słuchał, kiwał głową i tłumaczył od początku.

- Aby położyć bruk choćby tylko pod samymi straganami, to trza by zebrać na ten przykład ze trzy kopy jajec, coby mistrz Maurycy chciał z nami gadać. Ongard natychmiast się przekonał, że słowo, co skowronkiem frunie, wołem wraca.

- A to nie bedyma do ratusza jajkowego łoddawać! - wrzasnął ktoś uradowanym głosem. Recepta była prosta jak kij.

Jak nietrudno przewidywać, rozpętała się awantura. Gdy tylko do ratusza dotarło, że chłopcy jajcowego oddawać nie chcą, strażnicy miejscy pojawili się przy wyłomie w murze prowadzącym na kładkę i oświadczyli, że w takim razie od tych pór będą pobierać myto czy dziurowe od każdego wchodzącego. Od wychodzącego na razie nie, ale kto wie, co będzie?

- Co za przechera doniesła? - pieklił się wójt. - Przecie my wcale niczego nie postanowiły, ino przemyśliwały, i to nie ja przemyślałem, ino ludziska. Co za łotrzyśko poleciało do ratusza i rozpowiedziało psiomkrwiom rajcom?

Ongard rozłożył ręce.

- Wójcie, ze trzy tuziny ludzi słyszało, każdy rozpowiedziało babie, bratu, łojcom, dzieciskom, rychło całe podgrodzie wiedziało. Nie ma się co ciskać, sprawę trza załadnać.

- A co tu można załadnywać, jak się psiekrwie z ratusza na nas uwzięły. Szedłem rano do ratusza, miedziaków nie miałem, tom musiał guzika łoddać paskudom, coby mnie przez dziurę przepuściły.

Ongard spojrział i dostrzegł, że faktycznie, portki wójtowe były misternie obwiązane sznurkiem, żeby nie spadły.

- Łoj, nie macie dobrego oka u miastowych - przyznał z udawaną troską.

- A ni mam, tylko co z tego? Coś trza zrobić, bo jak się ludziska zbierają, to nam tak skórę przegarbują, że rękawiczki będzie można szyc. Widzicie jakowe wyjście?

- Wyjście jest jedno jedyne, trza iść do ratusza i się układać.

- Ale z kim, jak nas kieby kundli gonia, i jak się układać, kiej jakaś zła krew wszystko ratuszowi donosi. Co umyślim, oni już wiedzą, i nim my powiemy, to łoni już robią. Ludziska się burzą i już przemyśliwują, coby tych strażników spod dziury we fosie utopić.

Ongard pokręcił głową.

- Wójcie, najpierwej trza chłopów uspokoić, bo gdy się jakowy tumult uczyni, to dogadać się będzie

strasznie ciężko.

- Przemówicie do nich?

- Ja? - zdziwił się Ongard. - Wy jesteście na urzędzie, ja nawet waszym pisarczykiem nie jestem. Idźcie gadać z ludźmi.

- Łopierą mnie jak wpróżdzi!

- A za to wam dają z ratusza srebrnego na cztery niedziele.

Minęło kilka pacierzy i wójt pojawił się jeszcze bardziej markotny. Lewe ślepie, owszem, już traciło swe kolory, ale prawe było świeżo tak gracko trzaśnięte, jakby je koń kopytem pozdrowił.

- Trudno. - Ongard specjalnie nie przejął się przygodami starego wójta. - Jak obito urzędowe pyszczyśko, to na to są prawa, jak bym ja dostał, to tyła z tego, co chłop od baby swojej po gębie zbierze. Wracajta pilnować swoich. Ja pójdę do ratusza gardłować. Już wiem z czym.

Ongard specjalnie nie peszył się złotymi łańcuchami i falbanami rajców. Stojnie ubrani, bo ich stać. Nie zbijała go też z pantafelku płomienna przemowa złotnika Kędziołka, który straszył wręcz plagami egipskimi za to, że podgrodzianie wymówili jajkowe. Gadał, gadał, w końcu ochrypl. Aż Kuzynof dał głos Ongardowi.

- Widzicie, sprawy są takie, że racje leżą po obu stronach. - Młodszy stolarz spojrzał na mistrza Hebelkę i dostrzegł w jego oczach przychylność. - Jest tak... - kontynuował - jakem porachował dobrze dusze na podgrodziu, to nam wyszło, że wójt Grzduczka okazał się nieco za hojny dla ratusza. Mi wyszło te pięć jajec mniej. Wiele nie jest, ale Grzduczka urzędował sporo wiosen, nieprawdaż? - Rajcowie pokiwali głowami.

- A pięć jajec, jeśli dobrze porachowałem, to się kopa od wiosny do wiosny zbierze, źle liczę?

- No, dobrze gada. - Rajcowie musieli przyznać rację.

- Tedy jest to nasza racja. Możem się za łby brać, od kiedy trza by liczyć najstarszego od takich Kapustów, bo poszedł w świat łońskiego roku. Może to było z pierwszym śniegiem, a może figa, na świętego Jana. Mówię wam, że nie doszedłem. Uczciwie. Może Grzduczka naciągnął na cztery jaja, a może na sześć. Jest sens się prawować?

- Jak o zeszłoroczny śnieg. - Ktoś machnął ręką.

- No właśnie. Ludziska z podgrodzia burzą się. Słusznie czy nie, ale się burzą. Będzie lepiej, jak przestaną?

- Będzie, będzie - przyznali.

- Więc ja tak myślę: Maurycy murarz zostanie opłacony z jajkowego. Spór między podgrodziem a ratuszem załatwim polubownie. Murarze cokolwiek zarobią, przecież też się liczy, a pomyślcie, że jak na drodze do miasta ludziska znajdą porządniejszy plac do handlu, to może i więcej włościan tu ściągnie. Wy też tam zajrzycie.

Słyszając głos nastawiony na ugadanie się, najzagorzalsi rajcowie spuścili z tonu.

- Bogiem a prawdą - odezwał się garncarz Konewka - dobrze wyprowadzić z miasta handel na ten przykład baranami, bo okrutnie bobcą i trza później sprzątać.

Gadali, gadali, mistrz Maurycy, jako że czuł się najważniejszy, postawił swoje warunki.

- Do roboty dokładać nie będę. A taki bruk trzeba położyć bardzo porządnie. Pomiędzy budynkami kładzie się inaczej, na wolnym placu trzeba pracować jak na gościńcu. Potrzeba mi z dziesięciu pomocników.

- To może weźmiesz sobie wyrostków z podgrodzia. Na czeladników się nie wyuczą, ale jak ich do jakichś robót przysposobisz, mogą się przydać i na później - zauważył Ongard.

Deliberowali do wieczora i w końcu się ugadali co do szczegółów. Jajcowe dla ratusza nie było ważne. Ongard to wiedział. Wiedział też, że to, czego rajcowie naprawdę się obawiali, to stałego uchylania się chłopów od wszelakich ciężarów. Jeśli więc jajcowe miało być zamienione na coś, co szło ku powszechnemu pożytkowi, czemu nie?

Ludziska zebrali się u kładki, którą, wyczyniając wygibasy, by nie wlecieć do fosy, Ongard wracał z ratusza.

- No i cokolwiek my się ugadali - stwierdził. - Pytam was teraz, czy zgodzicie się na te pakta.

- Co, jakie pa...

- Słuchajcie - machnął ręką - mistrz Maurycy potrzebuje dziesięciu wyrostków do pomocy. Tych dziesięciu pójdzie do niego na czas tej roboty na takich warunkach, jakby poszli do niego na nauki. Nie obiecuje, że którenkolwiek stanie się czeladnikiem. Będzie robota albo nie, się zobaczy, ale naturalną rzeczą jest, że najpierw będzie brał tych przyuczonych. Do tego podgrodzianie odrobnią jedną dniówkę na wożeniu kamienia. Trzeba będzie nawieźć ciężkich otoczków, Mateusz obliczają se, że z pięć furmanek. Jeden z was się poświęci, inni w ten dzień muszą pomóc. Mateusz będą pracować za półtorej kopy jajec. A my przez dwanaście niedziel nie dajemy jajcowego do ratusza. Co nam się policzy za to, co mógł Grzadzka naciągnąć. I co wy na to?

- Aaa... znaczy Mateusz plac brukować będzie?

- No właśnie o tym cały czas mówię. Wybrukuje za półtorej kopy jajec.

- Znaczy, zara - chłopka się wzięła pod boki - kto będzie brukował, łon czy tych naszych dziesięciu?

- Cichaj gu-upia ba-abo. - Burak najwyraźniej zrozumiał. - Cichaj, nie piskaj, Mateusz bruk nam kładzie, rozumiecie? Musi mieć chłopków do-o po-omocy, a sam będzie wszystkiego do... - jąkanie nie pozwoliło dokończyć.

- Tak, gospodyni, Mateusz bruk położy, będzie pod straganami taki, jak na bocznych ulicach przy rynku.

- A czemu...

- A-aa, Jagna, wy mata może w szopie taką kostkę jak na rynku? Ni mota? To-o nie lamentujta. Po-o mo-ojemu dla na-aszych chłopaczysków bardzo dobra robota. Za-amiast bąki zbijać, się czego na-auczą.

- No popatrz, zbiegowisko było, a nawet nikt nikomu po gębie nie nałożył - zdumiał się stary nowy wójt.

Ongard aż za dobrze wiedział, co jest przyczyną zamieszania. Sam szukał z tęgim kijem w ręce Maniusia. Nie bardzo mu było w głowie przekonywać pogrodzian, że strażnicy przy dziurze nie będą pobierać żadnego kopytkowego czy pogłównego. Też chcieli oprąć Maniusia, jako że Maniś oprął po gębie kaprała strażników. Huncwot jeden znów ruszył na karcięta Pod Pluskwę. Mniejsza o to, co przegrał, czy kogo ograł. Wdał się w awanturę ze strażą. Ongard był pewien, że zaszył się w jakiejś mysiej dziurze w mieście, nie było go w warsztacie ani w okolicy, nikt nie widział go przy bramach. A dziury w murze, którą biegła najwygodniejsza droga na podgrodzie, strażnicy pilnowali od nocy. Psiakrwia przyczaiła się na jakimś stryszkę czy w szopie. Ongard obiecywał sobie stłuc na kwaśne jabłko hultaja, żeby tylko go dopadł!

- Majster! - Gospodyni Jagna zastąpiła mu drogę. - No co teraz?

- A co ma być? Co was to obchodzi?

- A co, jak przy kładce straże staną i po groszaku łód człowieka będą brały?

- Nie będą. Robota na placu idzie? Idzie! Umowa spisana? Spisana. Maniusia szukają, przechery jednej. Rozumiała? - Śmignął kijem, aż kopka pokrzyw wyleciała w powietrze.

Maniś się stracił jak kamień w wodę. Nie przyszedł w porze obiadowej, nie wrócił na wieczerzę, Ongard już, już za kija złapał, gdy usłyszał kroki na podwórzu. Niestety był to wójt. Ongard spojrzał uważnie w jego gębę, ale nie oprali go już więcej. Mimo tego był przestraszony.

- Ludziska się burzą. Na placu dziś pyskowały znów, że co z tego, że plac pobrukują.

- To już dawno gadały - zauważył Ongard. - Jagna z Łogorzanów, to chciała mieć kostkę taką foremną, jak przed ratuszem.

- Jest gorzej. - Podrapał się urzędnik w czubek czupryny. - Ludziska powiadają, że ktoś musi do ratusza biegać i o wszystkim rozpowiadać.

Majster popatrzył uważnie na starego wójta.

- No i gadają, że to wy?

Wójt tylko się skrzywił.

- A przecie to wasz łobowiazek. Jak by się we wsi tumult czynił, macie wezwać z miasta straże, buntowników wskazać i ukarać.

- Ale gardłują. To się źle skończy. Ktoś rozpowiada.

- Kto? Ludziska same ozorami mielą, bez pomyslenia, że inni słuchają.

- Ktoś...

- A wiecie, wójcie, kto mógł rozpowiedzieć o jajkowym za pierwszym razem? Maniś Pod Pluskwą. Lata tam na karciochy, spija się regularnie. Wiem, kto do ratusza doniósł. Szynek Bacła. A od kogo wiedział?

Wójtowi nagle oczy rozbłysły.

- A wicie? A jakby tak Manusia obwiesić...? Ludziska by się uspokoiły.

- Obwiesić Manusia? - Ongard popukał się w czoło. - Za co? Że rozpowiadał, co my radzimy? Że to doszło do rajców? A to się rajce ucieszą! Wójt - pokręcił głową - głupiście jak ćwierć mojego lewego kamasza. Nie pozwolę! Zapamiętajcie sobie: Maniś u mnie terminuje. Sąd nad nim do mnie należy! - Pogroził palcem.

- Dyń, dyń - pojawił się Guru z zafrasowaną miną.

- A ty co?

- Uważajta, majster, na wójta. Ten człek jest zły i przestraszony. Jak pies zagoniony do kąta.

- A co on mi może?

- Uważajta.

- Tak mi radzisz, jakeś mi radził, jakem przez kładkę pierwszy raz przechodził. No uważam. I co?

- Uważajta.

Dobry sen przyniósł dobrą radę. Rano Ongard przegryzł pajdę chleba ze smalcem i przy tej pajdzie nabrał pewności.

- Musi, psia wiara, tam siedzi, trza to sprawdzić - zdecydował.

Kilka pacierzy później szynkarz ze Słodkiej Bułki, kilku jego chłopaków i Ongard ruszyli przeczesać stryszek nad chlewikiem, który majster tak pracowicie w początku swej kariery czyścił. Nie trzeba było czekać długo, aż rozległ się lament Manusia. Aż się strażnicy zbiegli, ale zobaczywszy, że wymierzana jest sprawiedliwość dość tęgim kijem, i że wymierzana będzie jeszcze przez wiele pacierzy, tylko z szacunkiem pokiwali głowami.

- No... Majster ciężką rękę mają...

Lament trwał całą drogę do dziury. Tamże Ongard stwierdził, że sprawiedliwości stało się zadość i puścił Manusia przodem. Szedł sobie szparko do warsztatu, nawet wesoło rozmyślając, jak to mu się udało wszelkie trudne sprawy wyprostować, aż nagle tuż koło jego chałupy zastąpił mu drogę wójt z kilkunastoma chłopami.

- No i już nie ma straży przy dziurze w murze - oświadczył im wesoło.

Wójt spojrzał na niego i na resztę, jakby całkiem nie rozumiał, co do niego mówi.

- Mamy zdrajcę! - wrzasnął nagle.

Nim Ongard zmiarkował, co się dzieje, już go trzymali.

- Do ratusza chodź! donosić... Złodziej jeden.

- Jak do ratusza, do Słodkiej Bułki, tego psiekrwie Maniusia...
- A talary macie?
- Dwa trzymam u rajcy Kuzynofa...
- Dwa talary ma złodziej!
- Ale to moje! Nic nikomu nie jestem winien! - Ongard się dopiero wystraszył, bo go za hajdawery unieśli i tylko mógł wierzgać nogami.
- Nie ma co się cackać, pod dąb z nim! - zakomenderował wójt.
- Ludzie, ludzie, co robicie?
- Złodziei obwieszamy, dopiero będzie dobrze, jak wszystkich powiesimy.
- Ale ja nic nie ukradłem, wszystko, co mam, tymi rękami zdobyłem!
- Każdy tak opowiada!
- Ludzie, ale ja wam załagodziłem awanturę z ratuszem... Dobrze wam zrobiłem... Ludzie!

Tumult się robił coraz większy. Ongard zobaczył, jak przed chałupę wybiegła jakaś dziewczka. To była Kaśka, szybko się zakręciła, i gdzieś pobiegła. Dzieciska, które na gościńcu w kałuży się bawiły, z krzykiem się rozbiegły, rozjazgotały się psy. Ludzie wójta ciągnęli go szybko w kierunku zagajnika, gdzie rósł wielki dąb. Majster wierzgał, kopał, ale zyskał tylko tyle, że zobaczył, jak z bramy, na której pierwszego dnia w mieście Urgam widział wystającą rzyć, wyglądają strażnicy. Zapierał się, ale już byli pod dębem, już przewiesili sznur przez konar. Ktoś wiązał pętlę. Kto? Manius!

- Psiawiaro, nie tak się wiąże stryczka - wrzasnął na niego zły, że jak zwykle partoli robotę. Manius nie słuchał, nadział mu sznur na szyję.

- Ciągnij! - Ktoś komenderował. Katowska robota szła koślawo, Ongard, przyduszony stanął na końcach palców, szur się gdzieś u góry zaklinował i nie popuszczał ani w te, ani we wte, choć go szarpali na różne sposoby. W tumultcie i szarpaninie nagle usłyszał:

- Łuciejakta, łuciekajta!

Nagle wójtowi go opuścili. Chwycił za pętlę, podciągnął się, i szczęście go opuściło. Poczuł, jak ziemia ucieka mu spod nóg. Poniosło go po pochyłości pagórka i zawisł pewnie z piędź nad gruntem. Zobaczył jeszcze, że lecą ku niemu dwie kupy, jedna z pogdrodzia: chłopcy z widłami i baby z kijami z Kaśką na czele, druga: strażnicy z miasta. Słyszał, jak ktoś wrzeszczał:

- Ratujta majstra, laboga, ratujta!

Ale byli daleko. Pętla, choć kiepsko związana, zacisnęła się.

G-rr-r G-r-rr.

- Trzech króli - odpowiedział usłużnie duszek. - W tej sytuacji tylko trzech króli.

- Co?

- Control, alt, delete!

Antoni Guzdra z wściekłością cisnął komputerowy hełm rzeczywistości wirtualnej.

- Z czego się, głupki, śmiejecie?! - Pogroził dwóm wyrostkom.

- Ale wujek koncertowo przerznął! - rechotali obaj, aż im się brzuchy trzęsły.

- Zostały wszystkie porady i prawie nieruszone talary - rzeli radośnie, a on naprawdę nie widział, co w tym takiego niezwykłego, że zostały?

- Co to w ogóle jest?! - Chwycił ręką pudełko.

- Wujek sam wybrał - rechotali dalej.

Wyciągnął z kieszeni okulary. Nasadził na nos, fukając gniewnie, i w końcu odczytał:

„Gra dydaktyczna *Podgrodzie w ruinie*” .

- Gdzie tu jaka dydaktyka, jaka nauka, przecież w normalnym życiu takich rzeczy nie ma. Tfu! To trzeba zwrócić!

- No... ale wujek spojrz, która godzina, wujek grał, a grał, zapomniał się zupełnie...

Antoni oprzytomniał. Świat miasta Urgam nagle opuścił go, jakby to był sen. Co za bzdura! A on jeszcze będzie się wyklócał ze smarkaczami. Dobrze... Jeszcze zdąży. Zerwał się z fotela, wrzucił palto na grzbiet i ruszył przed siebie. Na dworze ochłonął zupełnie. Durne, bo durne to było, ale prezent gwiazdkowy ma z głowy. A niech tam! Niech se małolaty grają, niech się zajmują, głupsze rzeczy potrafią robić. Mijał w pośpiechu sklepowe wystawy ustrojone w choinki i mikołaje, girlandy świateł, przeróżne gwiazdy oraz inne mrugające cudactwa, i w kwadrans zapomniał całkiem o sromotnym zakończeniu gry.

- Dobra, jedną sprawę mam z głowy - powiedział sobie. Nic nie będzie z pewnością zwracał. Piszą, że dydaktyczna, niech piszą, tyle warte, co reklama, że najtańsze czy najlepsze. Ich zbójeckie prawo. Teraz musi się skupić na innych rzeczach. Naprawdę ważnych. Ludzkie zbiegowisko wyłoniło się nagle zza rogu ulicy, jakiś facet z mikrofonem coś perorował z emfazą w głosie, co chwilę rozlegały się oklaski.

- Antoni! - Obejrzał się. Zobaczył kolegę, Krzyska.

- Jestem.

- Antoni... Ten Kowalski... To nie jest...

- Aniołek on nie jest - potwierdził wątpliwości.

- Za mądry także nie.

- Ale widzisz, ma poparcie... My poprzemy jego... coś się uda załatwić, nie?

Krzysiek pokręcił głową z powątpiewaniem. Podeszli bliżej, wmieszali się w tłum. Antoni słuchał jednym uchem przemówienia. Znał te hasła i frazesy na pamięć. Interesowały go raczej reakcje ludzi.

A niewielki tłumek zaczynał reagować coraz bardziej żywiołowo. W końcu wszyscy zaczęli skandować równo:

- Zło-dzie-je! Zło-dzie-je!

Antoni dostrzegł łysego osobnika potrząsającego groźnie pięścią. Łeb miał ogolony i na dodatek czymś chyba wysmarowany, jakby dziegciem.

Adam Cebula